

Publiczność chętnie zagląda za kulisy. Oczywiście, na scenie. Autorzy dramatyczni zaś chętnie, od niepamiętnych czasów, przedstawiają perypetie aktorów. Niekoniecznie życzliwie, już Szekspir nie mógł powstrzymać się od śmiechu, kiedy w „Hamlecie” mówił o teatrze. Ale Ronald Harwood opowiadał w „Garderobianym” ze śmiertelną powagą. Antologia jest obszerna, mieszczą się w niej dzieła wielkie i średnie, często niejake. Dające do myślenia i do śmiechu.

Do tych dwóch ostatnich gatunków sięgnęły teatry warszawskie: na Scenie Kameralnej Polskiego zobaczyliśmy premierę „Aktora Minetti” Thomasa Bernharta, w Syrenie „Księżyc nad Buffalo”. Poza środowiskiem, którego dotyczą, wszystko niemal te utwory dzieli, choć oba na swój sposób pokazują nędzę i wielkość stanu aktorskiego.

W sztuce o Minetti grał swego czasu sam wielki Minetti (1905 - 1998), aktor symbol teatru niemieckiego, ktoś będący połączeniem niemieckiego Ludwika Solmskiego i niemieckiego Tadeusza Łomnickiego, żywa historia sceny XX wieku. Utwór Bernharta niewiele ma wspólnego z realnym życiorysem aktora, choć jego pierwowzór przyznawał, iż dramaturgowi udało się uchwycić sporo jego cech, że nad podziw wiele o nim wiedział, mimo iż rozmawiali ze sobą raptem trzy godziny. Ale nazwiskiem Minettiego posłużył się dramaturg austriacki jako symbolem, usiłował zgłębić, na czym polega fenomen aktorstwa.

Dostrzegł go w nieprzemyślanej potrzebie monologu, w niepowstrzymanej potrzebie kierowania do kogoś swoich myśli, w repetycji, w doskonaleniu, w szlifowaniu przeżycia. A istotę prawdziwej sztuki utożsamiał z walką przeciw publiczności. Trudno tu wyznaczyć granicę między przeżyciem realnym a tylko granym. Aktor musi grać, nawet wówczas, gdy z teatru wygnany chroni się przed publicznością i przez lata całe jej unika. Jak bohater tej sztuki, zbuntowany przeciw sztuce klasycznej, który odrzuciwszy cały stary teatr, postanowił zbudować nowy. Pozostał mu tylko „Król Lir”, którego nigdy nie zdradził, którego maskę wozi ze sobą, podobnie jak kufer z nikomu już niepotrzebnymi recenzjami ze swoich przedstawień. Oto teatr objazdowy Minettiego, który przybywa do hotelu, w którym umówił się z nim dyrektor teatru. Mają uzgodnić występ artysty dla uświetnienia dwusetlecia sceny. Minetti zagra, oczywiście, Lira.

Takie są ramy fabularne tej opowieści, rozgrywającej się w wieczór sylwestrowy, w której strudzony nieobecnością na scenie i walką o swoją prawdę sztuki aktor próbuje odzyskać publicz-

Trzeci dzwonek

TOMASZ MIŁKOWSKI

Aktorskie tajemnice

ność. Tę wielką rolę w Teatrze Polskim reżyser Giles Renard powierzył Ignacemu Gogolewskiemu, który wydobywa z niej wiele tonów, sporo zaskakujących, łamiących przyzwyczajenia realistycznej narracji. W jego monologu pojawiają się wtręty, zachowania rodem z innych sztuk, cytaty, autokomentarze. Niepokój, irytacja, wreszcie rozpacz wychylają się spod aktorskiej szminki i na koniec nie wiadomo, czy Minetti przybył tu, aby się spotkać z reżyserem, czy też po prostu poszukiwał widowni do swego ostatniego spektaklu: „Oderwany od ludzi, oderwany od wszystkiego i od każdego, oderwany od materii dla sztuki aktorskiej, przeciwko publiczności, przeciwko, przeciwko, przeciwko, wciąży tylko przeciwko”. Końcowy obraz - martwy aktor w wielkiej masce, osypywany płatkami sztucznego śniegu - przywodzi na myśl zakończenie mało znanej sztuki Garcii Lorki „Publiczność”. W niej również śnieg, symbolizujący niewinność i śmierć, pokrywa nieprawości świata.

Gogolewski stworzył wielką rolę, postać trudną do jednoznacznego określenia, wielką i małą, kabotyna i zarazem powalonego kłeską człowieka, który namiętnie poszukuje nowej formuły teatru. Bernhard jednak nie ułatwia zadania ani aktorowi, ani widzom. Żąda napięcia, maksymalnej uwagi, wymusza teatralny posłuch. Ale czy potrafimy jeszcze w teatrze słuchać? Oto wątpliwość, od której trudno uciec. W dobie kina akcji i wzmożonego hałasu, czy głos Bernharta, tak mistrzowsko wzmocniony przez Gogolewskiego będzie słyszany? Nie wiem. Ale próbować warto.

Rzecz inna ze spektaklem w Syrenie. „Księżyc nad Buffalo” Kena

Ludwiga (w sprawnej reżyserii Cezarego Morawskiego) należy do gatunku repertuaru lekkiego, wielkiego namysłu nie wymaga - to po prostu zgrabnie skrojona komediofarsa, ukazująca aktorski świat za kulisami w karykaturalnym ujęciu. Rzecz do oglądania, bez pretensji do wielkich diagnoz, ale ze znakomitym materiałem dla aktorów, którzy ubóstwiają utwory, oferujące im możliwość scenicznej przemiany. A tak właśnie jest w tm przedstawieniu, w którym aż roi się od cytatów z innych sztuk, a niesamowita mieszanka kwestii pochodzących z wielu dramatów stanowi scenę kulminacyjną komedii.

Z rozmachem z możliwości zmiany twarzy korzysta Marian Kociniak, który wcielił się m.in. w Cyrana, a także inni członkowie aktorskiej trupy rodzinnej w wykonaniu Aliny Janowskiej, Izabelli Olejnik, Adrianny Biedrzyńskiej i Piotra Polka. Nieco z boku sytuują się dwie postacie - młodziutkiej aktoreczki z pretensjami, która niezwykle dostojnie nosi swoją świeżo odkrytą ciężę (Magda Wójcik) i narzeczony najmłodszej przedstawicielki aktorskiego rodu, także człowiek show-businessu, telewizyjny przepowiadacz pogody. Wojciech Malajkat w tej roli wywołuje parokszymy śmiechu na widowni, prezentując bezbłędny słuch farsowy, każdym gestem, spojrzaniem, każdym słowem budując postać gamonia w składzie porcelany. Do perfekcji panuje nad gestami pana pogodynki, toteż w wielu sytuacjach przedstawia wytrenowane ruchy rąk prezentera pogody, a jego niezmiennie zachwycenie i czolobitność wobec ludzi wielkiej sztuki, czyli aktorów, budzą niemal rozczulenie. Choćby dla jego roli warto Syrenę odwiedzić, która w tym sezonie gościnnie występuje w sali „Riviery” - stara buda na Litewskiej poszła wreszcie do remontu. ■



Hanna Stankówna
i Ignacy Gogolewski